

Józef Maziar

Wspomnienie z deportacji do ZSRR z lat 1940-1946

Rocznik Kolbuszowski 5, 141-144

2001

Artykuł został opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

Wspomnienie z deportacji do ZSRR z lat 1940-1946

Urodziłem się w 1931 r. w Staszówce, przysiółku wsi Hucina w powiecie kolbuszowskim, w województwie lwowskim, jako pierwsze dziecko Bronisława i Agnieszki Wrażeń, rolników. Ojciec mój pochodził z powiatu mieleckiego i przyszedł do Staszówki na niewielkie gospodarstwo żony, mojej matki. W 1933 r. urodził się mój młodszy brat Kazimierz. W 1937 r. rodzice moi sprzedali gospodarstwo w Staszówce, a kupili większe gospodarstwo w osadzie Smigłowo, polskiej kolonii, położonej w odległości 6 km od Zaleszczyk, tuż przy przedwojennej granicy polsko-rumuńskiej. Osada ta liczyła około pięćdziesięciu mieszkańców. Pojechała tam z nami babcia, matka mamy. W roku szkolnym 1938-39 zacząłem naukę w szkole powszechnej. We wrześniu 1939 r., po agresji niemieckiej na Polskę, pamiętam przejazd Polaków, wojskowych i cywilów, a raczej ucieczkę ich do Rumunii. Około 20 września przysła do nas Armia Radziecka. Nowe władze popierały Ukraińców, a odnosiły się niechętnie do Polaków. W szkole zaczęto uczyć po ukraińsku. 10 lutego 1940 roku przybyło do Śmigłowa wojsko czy NKWD i zabrało wszystkich jego mieszkańców do Zaleszczyk. Każdy wziął z sobą, w pośpiechu, to co mógł, trochę odzieży, pościeli, żywności. Niektóre kobiety zabrały ze sobą "głowy" maszyn do szycia, licząc że będą im one potrzebne.

Na stacji w Zaleszczykach sformowano transport Polaków z tego miasta i okolicy, mający być wywieziony do ZSRR. Załadowano ich, a wśród nich i moją rodzinę, do pociągu towarowego liczącego czterdzieści czy pięćdziesiąt wagonów. W każdym wagonie było po pięć, sześć, czy więcej rodzin. W zamkniętych wagonach, pod konwojem wojskowym, dostając raz na dzień kawałek chleba i parę łyżek zupy-wody, wieziono nas, przetrzymując godzinami na bocznicach, na Syberię. Niektórzy ludzie umierali już w drodze. Przywieziono nas do Krasnejarska, dużego miasta w środkowej Syberii. Tu, kiedy wyszliśmy wreszcie na powietrze po miesiącu jazdy w mrozie, w lodowatych wagonach, podzielono nas na grupy po 60 rodzin i rozwiezione te grupy w różne strony. Grupę, w której znalazła się moja rodzina, wieziono połowę dnia samochodem ciężarowym, a następnie trzy doby saniami w tajgę, w bezludną okolicę, do jakiegoś obozu. Umieszczono nas w jednym, dużym baraku, wszystkie 60 rodzin, kazawszy zostawić przed barakiem przywiezione rzeczy. Miało się je zostawić niby do rana. Spaliśmy na podłodze baraku, w zimnie i ciasnocie, w tym co mieliśmy na sobie. Gdy rano

wstaliśmy, nie znaleźliśmy przed barakiem naszych rzeczy. Nie można się było o nie dopytać i przepadły. W baraku, w kabinie na podwyższeniu, siedział przez jakiś czas, dniem i nocą, uzbrojony żołnierz i pilnował porządku. Nie pamiętam nazwy miejscowości, w której stał ten barak. Pamiętam, że po paru dniach wszystkich dorosłych i zdrowych wypędzono do lasu, do pracy przy ścinaniu drzew. Starzy zostawali z dziećmi. Brygady do pracy prowadzili uzbrojeni konwojenci. Pracujący dostawali dwa razy dziennie po niecałym kilogramie czarnego, ciężkiego chleba i trochę zupy. Niepracujący, to jest starsi i dzieci, nie dostawali takiego przydziału i ich krewni, pracujący dzielili się z nimi swoimi porcjami. Przez większą część roku żyło się w zimnie, a zawsze w głodzie i beznadziejności. Tak żyliśmy przez trzy lata. Ludzie szukali pożywienia gdzie mogli. W lecie jedli różne trawy, pokrzywy, zbierali ziarnka zboża. Panowała epidemia tyfusu i innych chorób. Ludzie wymierali całymi rodzinami. Nam, tam w tym baraku, umarła babcia. Pogrzebało się ją, tak jak i innych, niedaleko za barakiem.

W 1941 r. zaczęła się wojna niemiecko-radziecka. W 1942 r. wobec braku siły roboczej władze obozu udzieliły więźniom przepustek i pozwoliły przenosić się do pracy w niedalekim kołchozie. Mogło tam być trochę więcej jedzenia. Moja rodzina też się tam przeniosła. Zamieszkaliśmy w jednej chacie z drugą rodziną polską, posiadającą niemieckie nazwisko Hetnar. Rodzice poszli do pracy w polu, a i ja też trochę pomagałem przy pasieniu krów.

Ojciec mój już w jesieni 1941 r. dowiedział się o tworzeniu w ZSRR Armii Polskiej gen. Andersa. Chciał do niej wstąpić, ale nie widział możliwości zabrania nas do niej z sobą. Potem żałował, że nie poszedł do niej i kiedy w 1943 r. dowiedział się o powstaniu Związku Patriotów Polskich i tworzeniu przez niego nowego Wojska Polskiego, zgłosił się do niego. Myślał, że zabierze i nas do jakiegoś większego miasta, gdzie są przedstawiciele władz polskich. Ale pojechał do tego wojska i przepadł. Nie dostaliśmy od niego żadnej wiadomości. Zostaliśmy sami z mamą przy rodzinie Hetnarów. Mama pracowała w kołchozie, pożywienie podtykała nam, o siebie nie dbała tak jak powinna i w parę miesięcy po wyjeździe ojca, na wiosnę 1944 r. zachorowała i zmarła. Było to dla mnie i dla brata straszne przeżycie. Mama miała zaledwie 35 lat. Ja i brat musieliśmy trzymać się Hetnarów. Zostałem przyjęty do pracy w kołchozie. Jeździłem koniem po chleb do niedalekiego miasteczka. Nazwy jego jednak nie pamiętam.

Potem przyszła wiadomość o zakończeniu wojny. Powracali do domów Rosjanie, byli żołnierze. Polacy, będący wywiezieni do ZSRR, pragnęli wracać do odrodzonej Polski. Organizowali się w większe grupy, starali się o przyznanie im specjalnego, ewakuacyjnego pociągu. Mieli dostać wreszcie ten pociąg. Hetnarowie suszyli chleb na drogę, zbierali nieco tłuszczu, cukru. Ja robiłem to samo. Poszedłem do naczelnika kołchozu, powiedziałem o wyjeździe, a on dał mi na drogę czerwienca, czyli dziesięć rubli. Szklanka

mleka kosztowała wtedy pięć rubli. Jednego dnia zabraliśmy się na kołchozowy samochód, jadący do Krasnojarska po jakiś towar. Przybyliśmy na tamtejszą stację, gdzie pod drzewami biwakowało dużo Polaków, oczekujących na pociąg. Nie wszyscy z nich byli ludźmi uczciwym. Jednej nocy nie dopilnowałem mojej walizki, w której miałem dokumenty, suszony chleb i czerwieńca. Ktoś mi ją ukradł. Nie mieliśmy z bratem już niczego. A tu na nasze nieszczęście podstawiono pociąg do Polski. Żołnierze wyczytywali i wpuszczali do wagonów ojców rodzin i ich najbliższych. Hetnarowie weszli do wagonu, a mnie i brata żołnierz nie wpuścił. Nie pomógł płacz i krzyk. Zamknięto drzwi wagonu i pociąg odjechał. Z bratem zostaliśmy w obcym mieście. Postanowiłem nie wracać już do kołchozu, od którego dzieliła nas daleka droga przez olbrzymie lasy. Pobyt w Krasnojarsku to nie było życie, tylko jedna wielka męka. Spaliśmy w nocy na stacji kolejowej, jedliśmy resztki, pozostawione w restauracji dworcowej przez podróżnych i podkradaliśmy jedzenie świniom, chowanym przy tej restauracji. Było tak przez trzy tygodnie. Jednego dnia zauważyła nas pewna podróżna. Była to Polka, pracująca w jakimś organie ZPP. Zabrała nas z sobą, wykapała, przebrała i wystarała się o to, że odesłano nas do polskiego Domu Dziecka, działającego z ramienia ZPP w miejscowości Porog, nad rzeką Angara, na północ od Krasnojarska, niezbyt daleko od ujścia tej rzeki do Jeniseju. Ja, niestety, nie starałem się dowiedzieć i zapamiętać nazwiska tej kobiety, naszej dobrodziejki.

W Domu Dziecka było około sześćdziesięcioro dzieci polskich i parę ukraińskich, pozbawionych rodziców. Kierownikiem domu był pan Wroblewski, leśniczy spod Łowicza, higienistką zaś pani Mikołajczyk. W miejscowości tej, w której był dom Dziecka można było znaleźć czasem, wśród piasku, małe ziarenka złota. Pan Wroblewski wysyłał nas na poszukiwania tych ziarenek i mówił, że za nie pojedziemy do Polski. Oddawaliśmy mu wszystko, co znaleźliśmy, a pod wpływem opowiadań o Polsce budziła się w nas tęsknota za nią i nienawiść do Rosjan.

Wkrótce, bo w marcu 1946 r., nasz Dom Dziecka został ewakuowany do Polski. Jechaliśmy pociągami. W podróży mieliśmy znowu przykrą przygodę. Już za Uralem pociąg nasz stanął na stacji. Gromadka nas, ze dwudziestu chłopców, pobiegliśmy do stacyjnej studni po wodę. Jeden z naszych kolegów miał na sobie polski, wojskowy pas, pamiątkę po ojcu. Koło studni znalazł się jakiś żołnierz radziecki i chciał zabrać koledze ten pas. My go broniliśmy. Pobiliśmy żołnierza i jego kolegę, ale przyszli inni i zabrali nas na jakiś posterunek. Tam przesłuchiowano nas i nawet grożono rozstrzelaniem za napad na żołnierza w czasie pełnienia służby. My tłumaczyliśmy się i po jakimś czasie nas puszczono. Niestety, nasz pociąg już odjechał. Zostaliśmy sami na stacji. Wnet jednak jechał pociąg osobowy w tym samym kierunku, co i nasz pociąg pojechał, więc postanowiliśmy jechać nim, bez biletów i gonić nasz pociąg. Dogoniliśmy nasz pociąg po przeszło tygodniu

podróży. Po tym wypadku nasza nienawiść do Rosjan jeszcze się powiększyła. Jechaliśmy bowiem o głódzie. Zjedliśmy tyle, ile uzbieraliśmy u podróżnych. A tam ludzie sami biedni, nie są chętni dzielić się z drugim.

Po miesiącu podróży przekroczyliśmy granicę polską w Brześciu n/Bugiem. Skierowano nas do Domu Dziecka w Gostyninie. Tu zajęli się nami ludzie z Polskiego Czerwonego Krzyża. Zdezynfekowano nas. Potem odesłano do miejscowości Bardo Śląskie koło Wałbrzycha i umieszczono w Domu Dziecka znajdującego się w poklasztornym budynku. Razem z bratem spędziłem tam lato. Gromada nas, chłopców, w czasie zabawy odkryła pozostawiony przez Niemców mały skład karabinów. Zostawiliśmy sobie ich kilka, a o reszcie zawiadomiliśmy milicję. Razu pewnego zaczęliśmy z tej broni strzelać do dwóch żołnierzy radzieckich. Znowu mieliśmy kłopoty i zabrano nam broń.

Tymczasem nasz Ojciec poszukiwał nas przez Czerwony Krzyż. Przeszedł szczęśliwie szlak I Dywizji im. Tadeusza Kościuszki Ludowego Wojska Polskiego i zamieszkał u swojego brata w Chrzastkowie koło Mielca. Odnalazł nas i zabrał do stryja. W 1947 r. otrzymał dwa hektary pola z reformy rolnej w Orłowie, gmina Borowa. Ja poszedłem uczyć się w Gimnazjum. Po szkole średniej dostałem się na Wydział Technologii Drewna Uniwersytetu w Poznaniu. Skończyłem studia w latach pięćdziesiątych i dostałem nakaz pracy do tartaku w Długim Kącie w powiecie biłgorajskim. Pracowałem tam do 1960 r. Jeszcze w 1956 r. ożeniłem się ze Stanisławą Frask. Urodzili się dwaj synowie, Andrzej i Wiesław. Rok pracowałem w tartaku w Chmielowie koło Tarnobrzega, a od 1961 r. pracuję jako technolog w Rzeszowskiej Fabryce Mebli w Sędziszowie Młp. Mieszkam w tym samym mieście. Jestem bezpartyjny. Synowie zdobyli wyższe wykształcenie i usamodzielnili się. Z odznaczeń posiadam: Złoty Krzyż Zasługi, Medal XXXX Lecia i Odznakę Zasłużony dla Województwa Rzeszowskiego.

*Opracowała i podała do Rocznika Kolbuszowskiego
Halina Dudzińska*